

Kacze obiecanki

25 kwietnia 2007

Premier Jarosław Kaczyński jest naprawdę dobry w opowiadaniu bajek. Jedną z jego ulubionych jest ta, w której zachęca mały i średni biznes do inwestycji w maszyny czy inne urządzenia oraz do stawiania murów fabryk za pieniądze Unii Europejskiej.

W roku 2005 w trakcie kampanii wyborczej politycy Prawa i Sprawiedliwości obiecywali, że jak tylko dorwą się do władzy, znikną wszelkie bariery w wykorzystaniu funduszy europejskich. Aby sprostać temu niezwykle trudnemu zadaniu, powołano nawet specjalne ministerstwo – resort rozwoju regionalnego.

Nie będziemy bronić premiera Marka Belki i jego drużyny jak niepodległości, bowiem wiele wymogów przez nich wymyślonych nie służyło nikomu i niczemu. W pomysłach ujednolicenia wszystkiego niektórzy z nich przechodzili samych siebie. A to wymyślali obowiązkowy kolor teczki, w jakich miały być składane dokumenty, a to szerokość marginesów, a to co do milimetra mierzyli rozmieszczenie pieczętek i podpisów. Wszystko pod hasłem: „Unia tak każe”. Co było bujdą. Komisja Europejska nie zajmuje się takimi drobiazgami. Owe idiotyczne wymogi ułatwiały także niesłychanie ocenę (przesiew) wniosków: na początek – zamiast czytać biznesplany – wystarczyło obejrzeć kolory teczek – te w niewłaściwym szły do kosza; potem mierzono marginesy i tym podobne. Po takiej weryfikacji zostawało do dalszych analiz jakieś 20 procent wniosków.

Panowie Jerzy Hauser i Jacek Piechota – każdy z osobna – bili rekordy w rywalizacji: kto wyda najgrubsze i najmniej zrozumiałe rozporządzenie. Niektóre regulaminy liczyły 900 stron formatu A-4, a podręczniki do nich – kilka tysięcy stron. Dodatkowe niespodzianki polegały na tym, że zarządzenia panów ministrów zmieniały się nawet co tydzień!

W grudniu 2005 r. ówczesny premier Kazimierz Marcinkiewicz

powyrzucał do kosza najbardziej idiotyczne wymogi. Rząd Prawa i Sprawiedliwości okazał się jednak mocny tylko w poprawieniu ewidentnych głupot swoich poprzedników. Dostał on zresztą od zrzeszeń biznesmenów księgę zawierającą projekty niezbędnych poprawek. Cały twórczy wkład Marcinkiewicza ograniczył się do ich przepisania i wydania drukiem w Dzienniku Ustaw.

O wiele gorzej poszło Prawym i Sprawiedliwym napisanie projektu podziału środków z UE w latach 2007–2013. We wspólnocie obowiązuje obyczaj, że to rząd przygotowuje plan rozwoju. Zapisuje w nim, co chciałby osiągnąć, na co mają pójść miliardy euro i jakie będą efekty inwestycji. Dobrym obyczajem jest to, że wspomniany dokument jest dokładnie konsultowany z opozycją. Gdy już wszyscy projekt planu obwążają, jest on przyjmowany przez parlament. Nikomu nie przychodzi do głowy pomysł nagłej rewolucji.

W Polsce jest oczywiście na odwrót. W 2004 r. ówczesny premier Marek Belka przedstawił (w odróżnieniu od skandalicznych przepisów biurokratycznych) świetny wstępny projekt Narodowego Planu Rozwoju na lata 2007–2013. Powołano zespoły ekspertów, zamówiono opracowania. Debata nad tym dokumentem nie odbywała się w świetle kamer telewizyjnych i pewnie dlatego działacze PiS jak ognia jej unikali...

Projekt, jaki przedstawił Belka, był spójny, logiczny, dawał nadzieję, że nie zmarnujemy miliardów euro na niepotrzebne nikomu cudenka. A przykłady, że wyrzucić w błoto pieniądze z Brukseli jest niezwykle łatwo, dostarczyli nam Grecy i Hiszpanie. Chwaliła nas Bruksela, a rządy w Pradze czy Bratysławie czytały polski plan z zaciekawieniem. W załączniku był rozrysowany podział funduszy europejskich na tak zwane programy operacyjne (między innymi takie jak: rolnictwo, ochrona środowiska). Marek Belka postanowił nie przeprowadzać tutaj większej rewolucji i pozostawił podział przygotowany jeszcze przez minister Danutę Hübner w 2004 r. W końcu każdy program to oddzielne podręczniki, zespoły ekspertów, specjalistyczne procedury kontroli. Tego wszystkiego nie da

się nauczyć w ciągu roku. Członkowie zespołów oceniających (poza programami dla biznesu) uczyli się swojej roli nawet dwa lata. A nie byli to ludzie przypadkowi, lecz wybitni naukowcy i praktycy życia gospodarczego i społecznego.

Kazimierz Marcinkiewicz dostał coś, co mógł z łatwością wykorzystać. Jego decyzja była jednak inna. Dokument opracowany przez ponadpartyjny (a więc nie PiS-owski!) zespół ekspertów poszedł do kosza. „Mój rząd przygotowuje własną strategię rozwoju kraju” – oświadczył premier. Początek nie był taki łatwy. Eksperci, którzy pracowali nad NPR okazali się niesłuszni; słuszni – to jest funkcjonariusze PiS – mieli pewne trudności z przygotowaniem najprostszych dokumentów wyjściowych. Latem 2006 roku nieco zniecierpliwiona Bruksela zapytała Warszawę, jak w końcu z tym programem jest. W odpowiedzi dostała 32 strony maszynopisu dumnie zatytułowanego „Narodowe Strategiczne Ramy Odniesienia”. Jakość dokumentu była tragiczna. Komisja Europejska zgodziła się jednak, aby dzieło podpisane już przez Jarka stało się podstawą do rozpoczęcia negocjacji w sprawie szczegółowych zasad podziału środków. Ale z tym już idzie ekipie premiera Kaczyńskiego fatalnie.

Składają się na to: niechlujnie przygotowana tzw. Strategia rozwoju kraju na lata 2007–2013, czyli opracowanie, co rząd chce zrobić, aby Rzeczpospolita była państwem opartym na nowoczesnej gospodarce. Ów dokument stanowi uszczegółowienie sposobu podziału środków z UE. Według Tomasza Grzegorza Grosse, jest ona nadmiernie upolityczniona i niespójna, Jeszcze gorzej wygląda sprawa dokumentów poszczególnych programów operacyjnych. Od stycznia są one martwe. Wyczerpała się pula środków z lat 2004–2006. Przygotowane przez rząd dokumenty kilkakrotnie wracały z Brukseli do Warszawy. Po prostu zawierały masę błędów.

W końcu nie ma się czemu dziwić, gdyż społeczne konsultacje (z przedstawicielami biznesu, świata nauki, samorządu) ograniczono do minimum.

Na dodatek, trwa kolejna fala czystek wśród urzędników zajmujących się funduszami. Jak wynika z analiz Lewiatana (jedna z największych organizacji biznesu), przez 14 miesięcy wymieniono prawie 60 procent kadry. W niektórych przypadkach nawet kilkakrotnie. Optymiści mówią, że uda się wynegocjować program pomocy dla przedsiębiorców w sierpniu 2007 roku. To oznacza, że – zamiast wiosną – kwota 9 711 629 740 euro (nie licząc 16 programów regionalnych i programu dla Polski wschodniej) dla polskich biznesmenów będzie dostępna najwcześniej w listopadzie, grudniu. Tyle czasu zajmie przygotowanie całej maszyny. Jak to się nie uda, to polski biznes może liczyć na środki z UE dopiero od wiosny 2008! Co to znaczy dla przedsiębiorcy planującego od paru lat dużą inwestycję? Przeważnie jej kompletne załamanie.

Niespodzianką będzie także jeszcze bardziej skomplikowany i nieczytelny wniosek o płatność. Po prostu pani minister postanowiła połączyć dwa dokumenty w jeden i w efekcie papierów do wypełniania będzie jeszcze więcej, ze względu na powtarzające się pytania w rubrykach. I wcale nie myśli o wprowadzeniu możliwości składania dokumentów drogą elektroniczną. Na dodatek, umieszczenie na stronie internetowej państwowej agendy prostego i banalnego programu pomagającego przedsiębiorcom w składaniu wniosków przekracza możliwości tej ekipy. I nie ma się czemu dziwić. W końcu program do monitoringu i kontroli funduszy, tzw. SEMIK, okazał się całkowitą klapą.

No i właśnie tyle zostało z obietnic tańszego państwa i przyjaznej administracji.

Autor: MiC

Źródło: ["Fakty i Mity" nr 14 \(370\) 2007](#)